

Co się zdarzyło Kandydowi i Marcinowi we Francji

Autor tekstu: **Wolter**

Kandyd zatrzymał się w Bordeaux tylko tyle, ile trzeba było aby sprzedać parę kamyków z Dorado i zaopatrzyć się w wygodny pojazd na dwie osoby; nie umiał się już obejść bez filozofa Marcina. Zmartwiony był tylko, że musi rozstać się z baranem, którego zostawił Akademii Nauk w Bordeaux. Ta ogłosiła jako przedmiot dorocznego konkursu zagadnienie, czemu ów baran ma czerwoną wełnę; nagrodę przyznano pewnemu uczonemu z północy, który udowodnił, przez A plus B , minus C , podzielone przez D , że baran musiał być czerwony i umrzeć na księgosusz.

Wszelako, wszyscy podróżni, których Kandyd spotkał w gospodach po drodze, powiadali:

- Jedziemy do Paryża.

Ta powszechna skwapliwość obudziła w nim wreszcie ochotę ujrzenia stolicy; nie było to wielkie zboczenie z drogi do Wenecji.

Wjechał do miasta od przedmieścia Saint-Marceau; doznał wrażenia, że znajduje się w najszpetniejszej mieścinie Westfalii.

Ledwie Kandyd dobił do gospody, uczuł objawy lekkiej choroby, spowodowanej zmęczeniem. Ponieważ miał na palcu olbrzymi diament, a również zauważono w jego pojeździe ciężką szkatułę, znalazło się natychmiast dwóch lekarzy, których wcale nie wzywał, paru serdecznych przyjaciół nie odstępujących go ani na chwilę i dwie dewotki które grzały mu polewkę. Marcin powiadał:

- Przypominam sobie, iż, podczas pierwszej podróży, również zachorowałem w Paryżu; byłem bardzo ubogi; toteż nie miałem na usługi ani przyjaciół, ani dewotek, ani lekarzy i wyzdrowiałem.

Pod wpływem lekarstw i puszczenia krwi choroba Kandyda pogorszyła się znacznie. Pewien poczciwy obywatel zamieszkały w tejże dzielnicy, przyszedł, z całą słodyczą, domagać się odeń obliżu płatnego na okaziciela na tamten świat **[1]**. Kandyd nie chciał o tym słyszeć; dewotki upewniały że to nowa moda; Kandyd odpowiedział, że nie należy do ludzi upędzających się za modą. Marcin chciał wyrzucić natręta oknem. Klecha przysięgał, że nie zechcą pochować Kandyda. Marcin klął się, iż wnet pochowa samego klechę, jeśli ich nie zostawi w spokoju. Kłótnia stawała się coraz żywsza; Marcin wziął go za kark i wyrzucił bez ceremonii, co spowodowało wielkie zgorszenie, a w następstwie protokół w policji.

Kandyd wyzdrowiał; podczas rekonwalescencji miewał u siebie na wieczery nader wykwinne towarzystwo. Grywano dość grubo. Kandyd był wielce zdziwiony, że nigdy nie widział w swojej karcie asów; Marcin nie dziwił się zgoła.

Pośród nowopoznanych osób, które zaopiekowały się Kandydem ze szczególną troskliwością, znajdował się młody labuś, jeden z owych ludzi wścibskich, zawsze gorliwych, zawsze usłużnych, bezczelnych, obleśnych, narzucających się; z tych co to czyhają na świeżo przybyłych podróżnych, opowiadają im najnowsze skandaliki i stręczą uciechy za wszelką cenę. Najpierw zaprowadził Kandyda i Marcina do teatru. Grano właśnie nową tragedię. Kandydowi wypadło miejsce w pobliżu kółka znawców. To mu nie przeszkodziło wylewać łez w najpiękniejszych miejscach, ile że były doskonale odegrane. Jeden ze znawców, siedzący obok, rzekł w międzyakcie:

- Zupełnie niewłaściwie pan płacze: aktorka jest bardzo licha; partner jest jeszcze licheszy; sztuka bodaj gorsza niż aktorzy; autor nie umie ani słowa po arabsku a wszakże scena rozgrywa się w Arabii; co więcej, jest to człowiek który wierzy we wrodzone pojęcia; przyniosę panu jutro dwadzieścia broszur przeciw niemu.

- Racz mi proszę powiedzieć, ile posiadacie sztuk teatralnych we Francji? - zapytał Kandyd labusia; ów odpowiedział:

- Pięć do sześciu tysięcy.

- To dużo — rzekł Kandyd — a ile między nimi dobrych?

- Z piętnaście — odparł tamten.

- To dużo — rzekł Marcin.

Kandyd był pod wrażeniem aktorki **[2]**, która grała królową Elżbietę w dość płaskiej tragedii, wystawianej od czasu do czasu.

- Ta aktorka — rzekł do Marcina — podoba mi się bardzo, przypomina cokolwiek pannę Kunegundę; chętnie bym się z nią zapoznał.

Labuś ofiarował się go wprowadzić. Kandyd, wychowany w Niemczech, spytał, jaka jest etykieta i jak traktuje się we Francji królowe angielskie.

- Zależy jak i gdzie — rzekł labuś — na prowincji, prowadzi się je do gospody, w Paryżu uwielbia się je, jeżeli ładne, a po śmierci rzuca się je do kloaki.

- Królowe do kloaki! — rzekł Kandyd.

- Nie inaczej — odparł Marcin — ten pan ma słuszność; byłem w Paryżu, kiedy panna Monima przeniosła się, jak to mówią, do lepszego świata; odmówiono jej tego, co ludzie tutejsi nazywają honorami pogrzebu, to znaczy prawa do gnicia na szpetnym cmentarzu razem ze wszystkimi dziadami całej dzielnicy. Pogrzebano ją całkiem osobno, gdzieś w kącie ulicy Burgundzkiej, co musiało jej sprawić niezmierną boleść, bo to była bardzo szlachetnie myśląca osoba.

- To bardzo nieuprzejmie — rzekł Kandyd.

- Co pan chce — rzekł Marcin — tutejsi ludzie mają takie pojęcia. Wyobraź sobie wszystkie możliwe sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa, a znajdziesz je w rządzie, w trybunałach, w kościołach, w widowiskach tego osobliwego narodku.

- Czy to prawda, że w Paryżu zawsze się śmieją? — rzekł Kandyd.

- Tak — odparł labuś — ale wściekają się równocześnie; tutaj wyrzekają na wszystko trzymając się za boki od śmiechu; ba, śmiejąc się, czynią rzeczy najbardziej haniebne.

- Kto jest — spytał Kandyd — ten gruby wieprz, co tak wymyślał na sztukę, na której się spłakałem i na aktorów którzy sprawili mi tyle przyjemności?

- To wieczny malkontent — odparł labuś — który zarabia na życie mówieniem źle o każdej sztuce i każdej książce; nienawidzi wszystkiego co ma powodzenie, jak eunuchy nienawidzą ludzi z wigorem; to jeden z owych płazów literackich żywiących się błotem i trucizną; zwykła wesz kałamarzowa.

- Co nazywasz pan wszą kałamarzową? — rzekł Kandyd.

- To — odparł księżyk — taki skryba dziennikarski, taki Freron [3].

W ten sposób Kandyd, Marcin i labuś rozprawiali na schodach, przyglądając się publiczności wychodzącej z teatru.

- Mimo, że wielce pragnę ujrzeć pannę Kunegundę — rzekł Kandyd — chciałbym zjeść kolacyjkę w towarzystwie panny Clairon; była zachwycająca.

Labuś nie był człowiekiem mogącym znać pannę Clairon, która obracała się jedynie w dobrym towarzystwie.

Zajęta jest dziś wieczór — rzekł — ale miło będzie zaprowadzić cię do pewnej dystyngowanej damy: tam poznasz Paryż, jak gdybyś żył w nim od czterech lat.

Kandyd, z natury ciekawy, pozwolił się zaprowadzić do owej damy, mieszkającej w dzielnicy św. Honoriusza. Towarzystwo siedziało właśnie przy faraonie; każdy z tuzina smętnych poniterów trzymał w ręce plik karteczek, żalony rejestr niepowodzeń wieczoru. Panowało głębokie milczenie, bladeść obsiadła czoła poniterów, niepewność czoło trzymającego bank; gospodyni domu, siedząc obok nieubłaganego bankiera, śledziła oczyma rysia wszystkie parole, wszystkie stawki graczy; wszelkie zakusy wyłamania się z prawideł poskramiała z uwagą surową lecz grzeczną, nie okazując gniewu, z obawy aby nie postradać klienteli. Dama ta kazała się nazywać margrabiną de Parolignac. Córką jej, piętnastoletnia panienska, siedziała wśród poniterów i mrugnięciem oka ostrzegała matkę o sztuczkach nieboraków, silących się naprawiać okrucieństwa losu. Labuś, Kandyd i Marcin weszli; nikt się nie podniósł z miejsca, nie pozdrowił ich, nie spojrzął; wszyscy byli głęboko zajęci kartami. „Pani baronowa von Thunder-ten-tronckh była uprzejmiejsza”, pomyślał Kandyd.

Tymczasem, labuś nachylił się do ucha margrabin, która, podniósłszy się z lekka, uczciła Kandyda wdzięcznym uśmiechem, Marcina zaś dystyngowanym skinieniem głowy. Kazała podać krzesło i karty Kandydowi, który, w dwóch taliach, przegrał pięćdziesiąt tysięcy; po czym zasiedli wesoło do wieczerzy. Wszyscy dziwili się, że Kandyd nie był wzburzony po stracie; lokaje szepotali między sobą ze swą lokajską filozofią:

- To musi być z pewnością jakiś milord angielski.

Wieczera toczyła się jak zazwyczaj w Paryżu: zrazu milczenie, potem bezładny gwar słów, potem koncepty, przeważnie bez smaku, fałszywe nowinki, niedorzeczne rozprawy, trochę polityki i dużo obmowy; mówiono nawet o nowych książkach.

- Czytał kto z państwa — rzekł labuś — romans imć Gauchał, doktora teologii [4]?

- Owszem — odparł jeden z biesiadników, ale nie mogłem dokończyć.

Mnóstwo mamy niedorzecznych gryzmołów, ale wszystkie razem nie dają wyobrażenia o bredniach pana Gaucha, doktora teologii. Jestem tak przesycony bezlikami ohydnych książek który zalewa nas co dzień, że wolałem zabrać się do poniterki przy faraonie.

- A cóż powiecie na „mieszaniny” archidiakona Trublet [5]? — rzekł książyk.

- Och — rzekła pani de Parolignac — cóż za śmiertelna nuda! jak on bystro roztrząsa rzeczy wszystkim wiadome! jak ciężko rozprawia o tym, co nie jest warte ani wzmianki! jak, bez cienia dowcipu, przywłaszcza sobie dowcip drugich! jak psuje wszystko co łupi z innych! Cóż za obrzydliwość! ale nie złapie mnie już więcej; wystarczy przeczytać parę stron tego miłego archidiakona.

Był przy stole człowiek uczony i pełen smaku, który potwierdzał wszystko co mówiła margrabina. Rozmowa zesłała na tragedię; dama spytała, czemu istnieją tragedie, które grywa się niekiedy, a których nie podobna przeczytać. Znamca wytłumaczył jej bardzo zręcznie, że sztuka może budzić pewne zaciekawienie a nie posiadać żadnej wartości; wykazał, w zwięzłych słowach, że nie dość jest powtórzyć jedną z owych pospolitych sytuacji, które spotyka się w każdym romansie i które zawsze przykuwają widzów, ale że trzeba być oryginalnym bez dziwactw, często wzniosłym, zawsze naturalnym, znać serce ludzkie i umieć mówić jego głosem; być wielkim poetą, ale tak aby nigdy żaden z bohaterów sam nie wydał się poetą; znać język, władać nim czysto, harmonijnie, tak aby rym nie bogacił się kosztem treści.

- Ktokolwiek — dodał — nie przestrzega tych prawideł, może zyskać w teatrze poklask jedną lub drugą tragedią, ale nigdy nie będzie się liczył do wielkich pisarzy. Mało mamy dobrych tragedii: jedne to dialogowane idylle, dobrze napisane i gładko rymowane; drugie, usypiające rozprawy polityczne lub też niecierpliwiące gadulstwo; inne, majaki obłąkańca, o barbarzyńskim stylu, z wątkiem rwącym się co chwila, długie apostrofy do bogów bo autor nie umie mówić do ludzi, fałszywe maksymy, napuszone komunały.

Kandyd wysłuchał tych uwag z nabożeństwem i powziął wielki szacunek dla mówcy; że zaś margrabina raczyła go posadzić koło siebie, nachylił się nieco i odważył się spytać, kto jest ów człowiek wygłaszający tak światłe zdania.

To uczony — rzekła dama — nie grywa w karty, ale labuś przyprowadza go niekiedy na wieczerzę. Zna się wyśmienicie na teatrze i na książkach; sam napisał tragedię, którą wygwizdano, i książkę, która rozeszła się w jednym egzemplarzu, ofiarowanym mi przez autora.

- Wielki człowiek! — rzekł Kandyd — to drugi Pangloss.

Za czym, obracając się ku niemu, rzekł:

- Jest pan zapewne zdania, że wszystko idzie jak najlepiej w świecie fizycznym i moralnym i że nic nie mogłoby się dziać inaczej?

- Ja? — odparł uczony — ani odrobinę; uważam, iż wszystko idzie u nas na opak; nikt nie zna swojej rangi ani stanowiska, nie wie co czyni ani co powinien czynić. Z wyjątkiem kolacji, które bywają dość wesołe i przy których panuje jakaś harmonia, resztę czasu trawi się na niedorzecznych kłótniach: janiseistów z molinistami, sędowników z klechami, literatów z literatami i dworaków z dworakami, finansistów z ludem, mężów z żonami, krewnych z krewnymi; jedna ustawiczna wojna.

Kandyd odpowiedział:

- Widziałem gorsze rzeczy; ale pewien mędrzec, którego, na nieszczęście, powieszono, pouczył mnie, że to wszystko jest właśnie doskonałe: to są cienie na pięknym obrazie.

- Pański wisielec kpił sobie chyba z ludzi — rzekł Marcin — te jego cienie, to ohydne plamy.

- To ludzie robią te plamy — rzekł Kandyd — i nie mogą inaczej.

- Zatem, to nie ich wina — rzekł Marcin.

Gracze, nie rozumiejący przeważnie nic z tego języka, pili; Marcin zapuścił się w dysputę z uczonym, Kandyd zaś opowiedział pani domu to i owo ze swych przygód.

Po wieczerzy margrabina zaprowadziła Kandyda do buduaru i posadziła go na kanapie.

- I cóż! — rzekła — wciąż tedy kochasz bez opamiętania pannę Kunegundę von Thunder-ten-tronckh?

- Tak, pani — odparł Kandyd.

Margrabina rzekła z tkliwym uśmiechem:

- Odpowiadasz jak galant z Westfalii; Francuz powiedziałby: Prawda, kochałem pannę

Kunegundę; ale, widząc ciebie, pani, lękam się że już jej nie Kocham.

- Ach, pani — odparł Kandyd — odpowiem jak zechcesz.

- Twoja miłość dla niej — rzekła margrabina — obudziła się gdyż jej podnosił chusteczkę: otóż, pozwalam abyś mi podniósł podwiązkę.

- Z całego serca — rzekł Kandyd — i tak uczynił.

- A teraz, zapnij mi ją — rzekła dama — Kandyd znów był posłuszny.

- Widzisz, młodzieńcze — rzekła dama — jesteś tu obcy; paryskim wielbicielom każę niekiedy wzdychać dwa tygodnie, ale tobie gotowam ulec zaraz pierwszej nocy: trzebaż okazać gościnność młodzieńcowi przybyłemu z Westfalii.

Tu piękna dama, spostrzegłszy dwa olbrzymie diamenty na rękach młodego cudzoziemca, zaczęła wychwalać je tak szczerze, że niebawem z palców Kandyda przeszły na palce margrabiny.

Wracając do domu z labusiem, Kandyd odczuwał niejaki wyrzut, iż sprzeniewierzył się pannie Kunegundzie. Labuś współczuł z jego troską: zbyt skąpo przypuszczono go do udziału w pięćdziesięciu tysiącach zostawionych przez Kandyda na zielonym stoliku i w wartości dwóch brylantów, w pół danych, w pół wymuszonych. Miał najszczerszy zamiar wyzyskać, ile się da, tę cenną znajomość. Raz po raz zagadywał Kandyda o pannę Kunegundę; Kandyd zwierzył mu się, że, skoro ją ujrzy w Wenecji, nie omieszka błagać jej o przebaczenie za swą niewierność.

Frant przesadzał się w grzeczności i nadskakiwaniach, okazując serdeczne zainteresowanie wszystkim co Kandyd mówi, czyni, zamierza.

- Zatem, drogi panie — rzekł — masz spotkać się w Wenecji ze swą ukochaną?

- Tak — odparł Kandyd — dołożę wszelkich starań aby odszukać pannę Kunegundę.

Za czym, porwany przyjemnością mówienia o przedmiocie kochania, opowiedział, wedle zwyczaju, część swoich przygód z dostojną Westfalką.

- Sądze — rzekł labuś — że panna Kunegunda musi błyszczeć nieporównanym dowcipem i że pisze czarujące listy.

- Niestety! nie wiem — odparł Kandyd — wyobraź pan sobie, że, gdy mnie wypędzono z zamku za naszą miłość, nie miałem sposobu nawiązania z nią korespondencji. Później dowiedziałem się że zginęła; odnalazłem ją i straciłem znowu. Obecnie, wysłałem do niej o dwa tysiące pięćset mil umyślnego posłańca i oczekuję jego powrotu.

Księżyk słuchał uważnie i zadumał się nieco. Niebawem, pożegnał się z cudzoziemcami, wyściskawszy ich czule. Nazajutrz, wczesnym rankiem, Kandyd otrzymał list, skreślony w tych słowach:

„Drogi mój panie i kochanku, od tygodnia leżę chora w tym mieście, dowiaduję się że i ty tu bawisz. Pomknęłabym w twoje ramiona, gdybym się mogła ruszać. Dowiedziałam się w Bordeaux o twoim przejeździe, zostawiłam tam wiernego Kakambę i starą, którzy niebawem podążą tu za mną. Gubernator Buenos-Aires zabrał mi wszystko; ale zostaje mi twoje serce. Przybywaj; obecność twoja wróci mi życie, lub zabije mnie rozkoszą”.

Ten uroczy list, spadający tak niespodzianie, napełnił Kandyda nieopisaną radością; równocześnie, choroba drogiej Kunegundy zasmuciła go głęboko. Szarpany sprzecznymi uczuciami, bierze wszystko złoto i diamenty i każe się prowadzić, wraz z Marcinem, do wskazanej gospody. Wchodzi, drżąc ze wzruszenia; serce mu bije, głos trzęsie się od łkania; chce rozsunąć zasłony; chce wołać o światło.

- Nie waż się pan — mówi garderobiana — światło ją zabija.

To mówiąc, żywo zaciąga firanki.

- Droga Kunegundo — rzekł Kandyd płacząc — jak się miewasz? jeśli mnie nie możesz widzieć, przemów bodaj.

- Nie może mówić — odparła pokojówka.

Wówczas, dama wysuwa z łóżka toczoną rączkę, którą Kandyd długo skrapia łzami i którą napełnia garścią diamentów, zostawiając równocześnie woreczek złota na fotelu.

Wpółśród tych uniesień, zjawia się sierżant policji, w towarzystwie znanego nam labusia oraz oddziału straży.

- To są — rzecze — owi podejrzani cudzoziemcy.

Każe natychmiast ująć obu i rozkazuje swym zuchom aby ich powlekli do więzienia.

- Nie tak obchodzą się z podróżnymi w Eldorado — rzekł Kandyd.

- Jestem bardziej manichejczykiem niż kiedykolwiek — rzekł Marcin.

- Ależ panie, dokąd pan nas prowadzi? — spytał Kandyd.

- Do dziury — odparł sierżant.

Marcin, odzyskawszy zimną krew, osądził, iż dama odgrywająca rolę Kunegundy była hultajką; labuś hultajem, który, w najkrótszej drodze, skorzystał z naiwności Kandyda; sierżant zaś trzecim hultajem, którego z łatwością można się będzie pozbyć.

Woląc nie udawać się pod opiekę trybunałów, Kandyd, oświecony radą przyjaciela, wciąż zresztą dyszący żądzą oglądania prawdziwej Kunegundy, ofiarowuje sierżantowi trzy małe diamenty, każdy wartości około trzech tysięcy pistołów.

- Och, panie — rzekł stróż bezpieczeństwa — gdybyś nawet popełnił wszystkie możliwe zbrodnie, jesteś dla mnie najuczciwszym człowiekiem na świecie; trzy diamenty po trzy tysiące pistołów! Panie! dałbym się zabić za pana, zamiast pana prowadzić do więzienia. Aresztują wszystkich cudzoziemców, ale zdaj się pan na mnie, mam brata w Dieppe, w Normandii; dowiozę tam panów, a jeśli macie jeszcze jaki diamencik na zbyciu, brat będzie miał o was pieczę jak o mnie samego.

- Czemuż to aresztują wszystkich cudzoziemców? — spytał Kandyd.

Labuś odpowiedział:

- Dlatego, że jakiemuś włóczykijowi rodem z Atrebacji [6] nagadano bredni: to pchnęło go do ojcobójstwa [7], nie takiego jak w 1610 w maju, ale jak w 1594 w grudniu; takiego jakiego, w różnych latach i miesiącach, popełniali inni urwipołcie, również nasłuchawszy się bredni.

Za czym, sierżant wytłumaczył o co chodzi.

- Och! potwory! — zawołał Kandyd — jak to! takie okropności w narodzie, który bez przerwy tańczy i śpiewa? Co rychlej trzeba nam opuścić kraj, w którym mały drażnią tygrysów! W moim kraju widziałem niedźwiedzi; ludzi widziałem tylko w Dorado. Na miłość Boga, mości sierżancie, zawieź mnie do Wenecji, gdzie mam oczekiwać panny Kunegundy.

- Mogę pana zawieźć jedynie do Normandii — rzekł policjant. Natychmiast każe mu zdjąć kajdany, powiada że się omylił, odprawia strażników, wiezie Kandyda i Marcina do Dieppe i powierza ich bratu. Stał tam właśnie pod żaglem okręcik holenderski. Normandczyk, który, dzięki trzem dalszym diamentom, okazał się człowiekiem najuczynniejszym w świecie, wsadza Kandyda i jego służbę na okręt, odpływający do Portsmouth w Anglii. Nie była to droga do Wenecji; ale Kandyd miał uczucie, iż wyzwolono go z piekła; zresztą, miał zamiar podążyć do Wenecji przy najbliższej sposobności. [as]

Przypisy:

[1] Aluzja do "biletu spowiedzi" odbytej u księdza uznającego bullę *Unigenitus* (1713) wymierzoną przeciw jansenistom; biletom takimi musiał się wykazać każdy, kto chciał uzyskać ostatecznie namaszczenie. Wynikłe stąd spory trwały aż do r. 1756.

[2] Adrianna Lecouvreur, z którą Woltera łączyły węzły przyjaźni.

[3] Freron (1718-1776), redaktor *Annee litteraire*, wróg Woltera, któremu nieraz dał się we znaki swą gryzącą ironią. Wolter odpłacał mu to przy każdej sposobności, nie przebierając w środkach, jak widać z powyższego ustępu.

[4] Gauchat napisał lichą książkę pt. Listy o niektórych pismach współczesnych, za którą nagrodzono go tłustym probostwem.

[5] Trublet (1697-1770), kanonik Saint-Malo, zręczny kompilator. Głównym jego dziełem są *Essais de Litterature et de Morale*.

[6] Z Artois. Chodzi o Damiensa, urodzonego w Arras, który 5 stycznia 1757 targnął się na życie Ludwika XV, za co rozszarpano go końmi na placu de Greve.

[7] Zamordowanie Henryka IV i zamach Jana Chatel, wychowanka jezuitów, na Henryka IV.

(Publikacja: 01-09-2002 Ostatnia zmiana: 09-10-2004)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,415) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,415>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl